Nr. 44. Rok 3. Kraków, dnia 1 listopada 1942. 40 gr.

# Ilustrowany

POLSKI



*„Z głębokości wołam ku Tobie o Panie,*
*Panie wysłuchaj głos mój".*



## WALKA O ATLANTYK

Uzbrojony parowiec nieprzyjacielski odpowiada ogniem. Jednak pociski nie dosięgają celu i granaty eksplodują przed łodzią podwodną.

„...torpeda wypuszczona... czekamy w wielkim napięciu... po chwili wystrzela w powietrze płomień wysokości domu. Ropa naftowa płonąc tryska strumieniami... całe morze stoi w płomieniach, nieprzyjacielskie łodzie strażnicze spostrzegłszy grozę sytuacji puszczają się w szalony pościg za nami i przez pięć godzin prześladują nas bombami głębinowymi... lecz naprózno". Tymi słowy opisuje kapitan Thurmann po swym powrocie zatopienie w nocy okrętu cysterny na morzu Karaibskim. Mimo silnej ochrony konwoju ta sama niemiecka łódź podwodna zatopiła w ciągu jednej nocy sześć okrętów, a między nimi dwa okręty cysterny.

Fot.: Atlantic 1, Scherl 2, P. B. Z. 2

## CIĘŻKIE BOJE W GÓRACH KAUKAZU

Wytężona czujność, przed niespodzianymi atakami bolszewików, również w czasie chwilowych przerw w walkach. Obok karabinu leżą ręczne granaty.

Na prawo: Dowóz zaopatrzenia stanowi jedną z największych trudności, które wojska niemieckie muszą pokonywać w bezdrożnych terenach Kaukazu.

Zaskoczeni i oszołomieni nagłym wstrząsem powietrza eksplodujących granatów, wychodzą bolszewicy z jaskini, gdzie łapią ich niemieccy strzelcy.



W czasie trzeciego turnieju szachowego G. G. w Krakowie mistrz świata i Europy Dr. Aljechin gra z mistrzem Berlina Sämischem i odnosi nad nim zwycięstwo. Partię tę odegrano w obecności Gen. Gubernatora, dr. Franka, który sam jest wielkim miłośnikiem szachów. Fot. Rösner



# Szach królowi

**REFLEKSJE NA TEMAT UKOŃCZONEGO TRZECIEGO TURNIEJU SZACHOWEGO W GEN. GUBERNATORSTWIE**

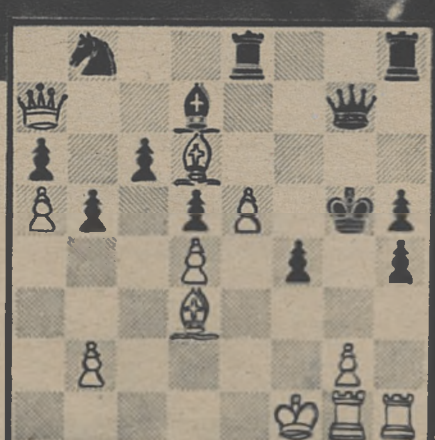
I znowu mistrz świata i Europy dr. Aljechin uzyskał wspaniały sukces zwyciężając w trzecim turnieju szachowym Gen. Gubernatorstwa (który odbył się w czasie od 11—24 października w 3 etapach w Lublinie, w Warszawie i w Krakowie) 7½ punktami. Wyniki dalsze: II nagr. Junge 6½ pkt., III Bogoljubow 6 pkt., IV—V Keller i Sämisch po 5½ pkt., VI Kieninger 5 pkt., VII Brinckmann 4½ pkt., VIII—X Kunerth, Röpstorff i dr Weil po 4 pkt., XI Zollner 2½ pkt.

Poraz trzeci już w tym roku pobił Aljechin elitę mistrzów udowadniając tym samym, że on, który akurat przed 15 laty zdobył mistrzostwo świata, utrzymał się dotychczas samotnie na najwyższym poziomie gry.

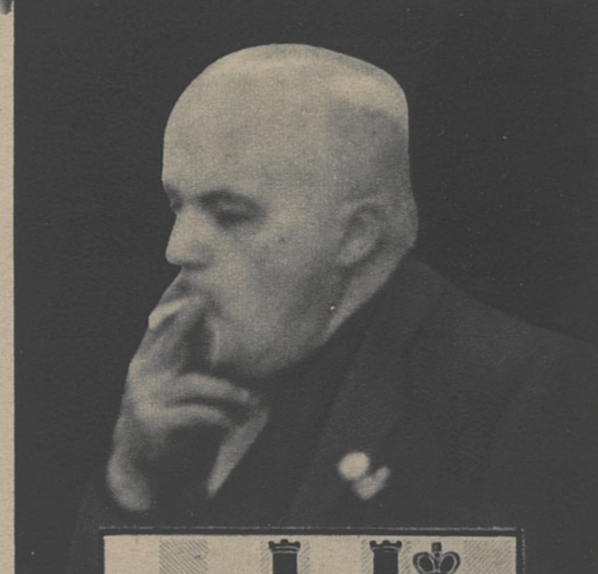
Na prawo: **BOGOLJUBOW**

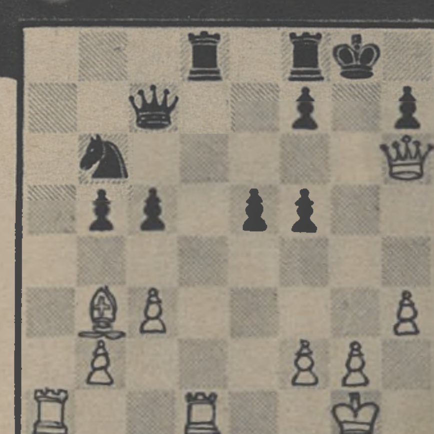
Jako przedstawiciel Gen. Gubernatorstwa był przez dłuższy czas groźnym konkurentem Aljechina. Dopiero nieoczekiwana przegrana w przedostatniej rundzie z Berlińczykiem, Kunerthem, zepchnęła go na dalsze miejsce.





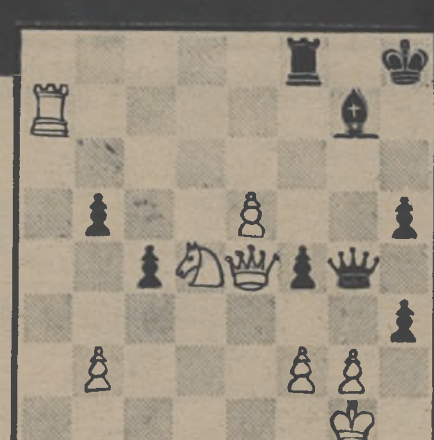
**Klaus Junge** pomimo swych zaledwie 18 lat wieku zalicza się do czołowej klasy mistrzów europejskich. Ma on już za sobą świetny wstęp do kariery szachowej. W przedstawionym tu położeniu (Białe: Keller, Czarne: Junge) nastąpił ruch: 1.e5-e6, lecz po 1...We8xe6 2. Gd6xb8 We6-e3 3. Gb8-e5 Hg7-e7! zwyciężył Junge — osiągając morderczy atak na linii e. Fot. I. K. P. — Borek





**Białe: Dr. Aljechin**, Czarne: **Junge**. Po posunięciu 1.Gb3xf7†!, godnym mistrza świata, czarne spadły z obłoków na ziemię. Goniec może być w trojaki sposób bitym, lecz we wszystkich wypadkach białe osiągają rozstrzygającą przewagę. Za tę partię, jako najpiękniejszą w turnieju, otrzymał Aljechin specjalną nagrodę ufundowaną przez Generalnego Gubernatora.





**Sämisch** jest nietylko jednym z najskuteczniejszych graczy turniejowych, lecz także ma światową sławę jako wspaniały gracz na ślepo. Kraków pamięta go z pobytu w jednym z klubów, w którym rozegrał seans gry symultan na ślepo z świetnym wynikiem. Tutaj widzimy, jak posunięciem 1...f4-f3! spycha swego przeciwnika Kellera w sytuację bez wyjścia.



**Röpstorff — Kraków** grał poraz pierwszy w turnieju tak silnie obsadzonym, potwierdzając swoją dobrą opinię i może być na razie zadowolonym z uzyskanego wyniku.



**Dr. Weil — Wiedeń** brał poraz pierwszy udział w turnieju mistrzowskim tak ciężkiego kalibru. W turnieju Gen. Gubernatorstwa zdobył sobie ostrogi dzięki swej pełnej pomysłów grze.

Fot.: Historia-Photo 7
ƒƒ P. K. Wenniger-Mulder 1



PRZENOŚNA SALA OPERACYJNA NA FRONCIE
Pomimo wielkich braków i ciężkich warunków, higiena jest ściśle przestrzegana.

Na prawo:
**ZNACHOR INDYJSKI**
Celem wypędzenia demona czarownik wymawia magiczne wyrazy i zaklęcia i tym przywraca człowiekowi jego cień, który zgubił, albo duszę, która z niego wyszła.



Poniżej:
**WYCINANIE KAMIENI Z GŁOWY**
W średniowieczu przypisywano ból głowy ukrytym w niej kamieniom, które w miarę natężenia bólu rosły.

# SPRZYMIERZEŃCY



Na prawo:
**MIEDZIORYT Z WIEKÓW ŚREDNICH ZATYTUŁOWANY „LA SAGE FEMME"**



Znany jest wszystkim dowcip, że najwięcej na świecie jest lekarzy. Wystarczy powiedzieć, że cierpimy np. na żołądek, a spotkamy się z współczuciem i radą znajomych i przygodnie spotkanych ludzi. Nie braknie też i recept, które nam polecają jako jedynie skuteczne.

— Niech pani mi wierzy, moja córka była taka chora, niknęła po prostu w oczach. Tyle lekarstw już zażyła, a ile mnie kosztowali lekarze? Nic nie pomogło. Aż nareszcie poradziła mi moja znajoma ... — i tu opisuje szczegóły zabiegu, który poleca. Każdy podaje nam inny środek leczniczy i w końcu nazbieramy taką ilość sposobów na naszą chorobę, że dopiero teraz nic nie wiemy i możemy umrzeć z nadmiaru lekarzy i lekarstw.

Ma więc medycyna „zawodowa" swoich sprzymierzeńców, którzy jej spieszą z pomocą tam, gdzie ona nie może sięgnąć. Ci sprzymierzeńcy rekrutują się z różnych dziedzin. Znajdziemy wśród nich uczonych chemików i fizyków, mechaników i elektryków, budowniczych i ogrodników, kucharzy i higienistów, znachorów i zielarzy.

Bez chemii nie byłoby współczesnej medycyny, ale droga jej rozwoju była powolna. Pierwotnie zamiast iść drogą praktyczną, bawiła się w spekulację, poszukiwała złota, albo też na wzór scholastycznych filozofów dociekała co o chorobach piszą mędrcy starożytni. Dużo czasu upłynęło zanim chemia zwróciła się ku właściwemu celowi i obrała właściwe środki działania: zamiast fabrykacji złota i środków uśmiercających zaczęła się rozglądać za środkami uzdrawiającymi. Dłużej trzeba czekać na rewolucję w nauce, a tym bardziej w medycynie, aniżeli na rewolucje polityczne.

Nie można było marzyć o wielkich odkryciach w czasach, gdy chemia była jeszcze alchemią, gdy zamiast eksperymentów laboratoryjnych uprawiano mistykę i wierzono, między innymi, że liście sercowate pomagać muszą w chorobach serca, a jaskółcze ziele, jako że jest żółte, przeciw żółtaczce.

Gdy wreszcie chemia doszła do głosu, dowiedzieliśmy się o bakteriach, powstała nowa nauka: bakteriologia. Wykryto świat mikroorganizmów, które prowadzą swój odrębny żywot w naszym organiźmie i w otoczeniu i mogą być albo bardzo pożyteczne dla nas albo zabójcze. Długą walkę musieli stoczyć chemicy i bakteriologowie z przesądami nie tylko chorych ale i uczonych lekarzy, aby wpoić w nich przekonanie o istnieniu bakteryj.

Jak chemia jest nauką pomocniczą medycyny, tak też wśród pierwiastków i związków chemicznych znajdziemy środki lecznicze. Siarka, ołów, rtęć, miedź, jod, arszenik i wiele innych znajdzie się w receptach lekarzy. Wiele z tych środków jest silną trucizną.

Leczenie trucizną nie jest wynalazkiem nowym. Każdy z nas zdaje sobie sprawę z tego, że trucizną jest opium, arszenik, kwas solny. Ale nie każdy wie o tym, albo zdaje się nie pamiętać, że trucizny te są również lekarstwami lub składnikami lekarstw. Funkcje żołądka nie byłyby tak skuteczne, gdyby nie było w soku żołądkowym straszliwej trucizny, kwasu solnego. Ileż wdzięczności winniśmy innej truciźnie, opium, że uśmierza nasze bóle, ile eterowi, formalinie! Trucizna zabija organizmy ludzkie, ale zabija także „organizmy" bakteryj. Trzeba tylko wiedzieć jak spreparować to lekarstwo, aby uchronić organizm ludzki, a zabić bakterie.

Nauka o sporządzaniu lekarstw to nowa gałąź wiedzy współczesnej, która posługuje się najnowszymi zdobyczami chemii, elektrotechniki, fizyki, aby spreparować lekarstwa i aparaty lecznicze. Różne lampy elektryczne, aparaty lekarskie, urządzenia szpitalne sporządzane są przez specjalistów, którzy stosują najnowsze zdobycze

*Dalszy ciąg na stronie 9-tej*

Poniżej:
**STAWIANIE BANIEK**
Miedzioryt z 1671 roku.




Poniżej:
**FELCZER PRZY WYCIĄGANIU STRZAŁY**
Drzeworyt z 1526 roku.

Poniżej:
**ACHILLES ZAKŁADA OPATRUNEK PATROKLOSOWI**
Według obrazu z czary starogreckiej.

Poniżej:
**TREPANACJA CZASZKI**
Miedzioryt z 1671 roku.







# MEDYCYNY



Na lewo:

Godzina siódma rano! Jeszcze jedno pociągnięcie papierosa i w drogę! Pięciu najlepszych ratowników Tatrzańskiego Pogotowia Ratunkowego wyrusza w otchłań po północnej ścianie Giewontu, która pochłonęła nowe życie ludzkie. — Od lewej do prawej widzimy: kierownika Tatrzańskiego Pogotowia Ratunkowego; doskonałego przewodnika i wieloletniego członka, odznaczającego się nadzwyczajną ofiarnością w niesieniu pomocy nieszczęśliwym turystom; jednego z najsprawniejszych wspinaczy-przewodników, — choć młodszy wiekiem nie ustępuje w swej sprawności przewodnika i ratownika najdoświadczeńszym wilkom górskim; starego wygę tatrzańskiego, niezrównanego przewodnika; pełnego humoru towarzysza wypraw górskich, niezmordowanego ratownika; jednego z najstarszych przewodników z Zakopanego, który wielu już ludzi wyratował przed śmiercią w przepaściach górskich.

Na prawo:

Podążają tam (+), gdzie w górnej połowie ściany północnej przechodzący turyści ujrzeli trupa.



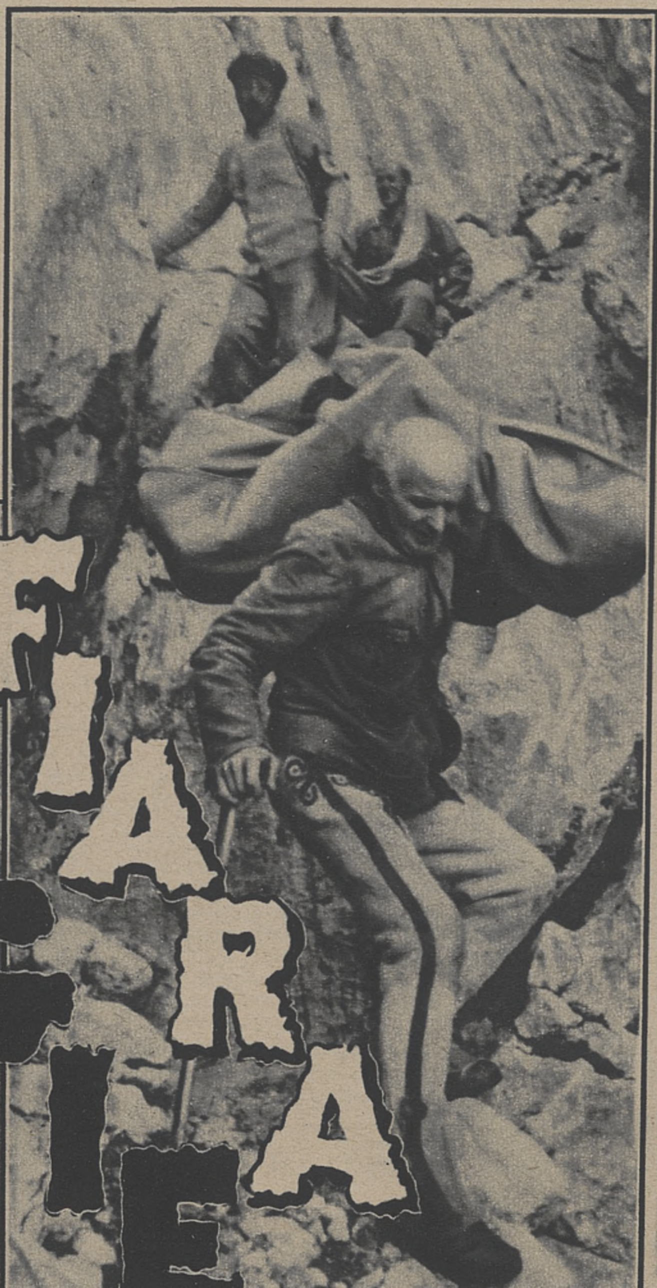
# OFIARA GIEWONTU

Leży przede mną gruba księga. „Księga Wypraw Ratunkowych" Tatrzańskiego Ochotniczego Pogotowia Ratunkowego. Z pożółkłych kart, zapisanych drobnym pismem, tchnie smutek i groza tragicznych wydarzeń górskich; spoza suchych, kronikarskich zapisków, zawierających nazwiska osób uległych katastrofie, krótki opis wypadku i przebieg akcji ratunkowej, wyziera prawie zawsze, dawno przebrzmiała, może już zapomniana tragedia. Nerwowe, obłędne usiłowanie zabłąkanego wśród turni turysty wydostania się z matni, strach wlokących się w nieskończoność godzin oczekiwania pomocy, krew i ból poszarpanych o skały tatrzańskie członków, trwoga śmiertelna człowieka lecącego w przepaść i rozpacz i łzy najbliższych. Są karty tej księgi kończące się jasnym, pogodnym: „uratowany, zdrów i cało sprowadzony w dolinę" — częściej jednak może opis wypadku kończą pełne grozy słowa: „...i poniósł śmierć na miejscu".

Przepiękne są w swej malowniczej krasie góry wysokie, przepiękne lecz i groźne i nieubłagane zarazem. Szczególnie dla tych, którzy ze zbyt lekkim sercem podchodzą do nich, którzy lekceważą sobie powagę gór, przeceniają siły swoje a wzmiankę o niebezpieczeństwach górskich z ironicznym przyjmują uśmiechem. Każdy rok przynosi nowe wypadki. Co roku płynie z podniebnych urwisk tatrzańskich wołanie o pomoc, ciągle gorączkowy pośpiech Pogotowia, szybki, możliwie najszybszy

*Ciąg dalszy na stronie 9-tej*

REPORTAŻ WŁASNY ILLUSTROWANEGO KURIERA POLSKIEGO





Na prawo i poniżej:

Po kilkugodzinnej trudnej wspinaczce i dokładnym przeszukiwaniu ściany północnej, po której hula mroźny wiatr, znajdują wreszcie w ciemnej szczelinie trupa. W czasie transportu w dół myśli każdego są przy nim. Kim on jest? Nie ma przy sobie papierów.



U stóp Giewontu ratownicy składają nosze bambusowe i tak przenosi się ofiarę do Zakopanego.



Trudna i niebezpieczna jest droga powrotna. Jednak stary W. zna tu niemal każdy kamień i nie po raz pierwszy schodzi stąd z tak przykrym ładunkiem.




Florentyna zerwała się i usiadła na łóżku zlana zimnym potem. Dygocącymi dłońmi cisnęła pierś, jakby chciała zdławić w niej oszalałe z przerażenia serce. Z rozchylonymi ustami i otwartymi szeroko oczyma wsłuchiwała się z natężeniem w głuchą ciszę nocy. Lecz zza otwartych okien do uszu jej nie dobiegał żaden dźwięk, żaden szelest. Cisza...

Zbudził ją krzyk, krzyk urywany, krótki — straszny! Krzyk ten nie był nawet słowem: był zdumieniem, przerażeniem, rozpaczą! Na samo wspomnienie tego dźwięku Flora czuła, że dławi się własnym oddechem.

Odrzuciła kołdrę i skoczyła ku oknu. Całą siłą swej młodej postaci przechyliła się przez parapet, a niespokojne jej oczy z kocią czujnością spojrzały wokół.

Noc była cicha i jasna. Nieba nie przesłaniała ani jedna chmurka. Nieprzeliczone roje gwiazd zdawały się śmiać i mrugać ku cudnym dziewczęcym oczom, patrzącym z dołu. Księżyc zachodził już i na pożegnanie sypał po świecie mleczne smugi. Czarne masywy gór ubierały się w blaski te, jak w srebrną markizetę.

Oczy Flory oderwały się od gór i pobiegły teraz przed siebie. Pomiędzy górami, a hotelem i kortem tenisowym, ciągnęła się pusta przestrzeń, równa i szeroka, jak otwarty korytarz. Na środku jej rósł samotnie stary, olbrzymi smrek. Księżycowe światło pieściwie wplotło się w konary, oświetlając drzewo tak, że można było niemal liczyć gałęzie. Za owym smrekiem ciemniał w oddali las.

Lecz i tu Florentyna nic nie dostrzegła.

Odetchnęła głęboko, z ulgą. Niewysłowiona słodycz górskiej nocy i cisza po prostu święta zwolna uspokajały wzburzone nerwy dziewczyny. Nie czuła zupełnie chłodu, choć noc, jak zwykle noce górskie, była niezbyt ciepła. Wsparła głowę o mur i, podniósłszy w górę oczy, wodziła nimi po gwiazdach, jakby chciała je zliczyć. Potem uśmiechnęła się do księżyca, do rodzinnych gór, do lasu...

A jednak na samym dnie serca odczuwała pewien niepokój. Mimo pozornej równowagi zdawała sobie sprawę z tego, że z trudem przyjdzie jej zasnąć na nowo. Ale wróciła do łóżka. Spojrzała przelotnie na budzik: lśniące fosforem zielone cyfry wskazywały dokładnie godzinę pierwszą po północy.

Przytuliła głowę do poduszki, usiłując zasnąć. Lecz straszny krzyk, który ją zbudził, a który zapewne był tylko sennym majakiem, kołatał się w jej mózgu, jak echo. Na próżno przewracała się na pościeli i zamykała oczy. Zrozumiała wreszcie, że jest to daremny trud. Więc przeniosła poduszkę na drugą stronę łóżka i otuliwszy nogi kołdrą zapatrzyła się w czarny kwadrat otwartego okna.

Powoli, strasznie powoli jaśniał ten kwadrat. Flora myślała z męką, że ta noc okropna nigdy się chyba nie skończy.

Gdy usnęła wreszcie, za górami poczynało już jaśnieć coś i błyskać, złocić się i różowić; oblane wschodem szczyty trysnęły w turkusowe niebo. Z oddali nadleciał wiatr, a zaraz za nim przybiegły leciuchne mgły różowe, seledynowe, fioletowe i złote — i wiły się na reglach, jak barwne serpentyny...

---

Była godzina czwarta rano. Ogromny pensjonat „Hotel Wielki" Florentyny Dęborówny pogrążony był w ciszy. Służba już wstawała o swej zwykłej porze. Na czwartym piętrze, gdzie mieściły się pokoje służby żeńskiej i na parterze, gdzie mieszkała służba męska, słychać było delikatne krzątania. Pokojowe niemal bez szelestu schodziły do kuchni.

Nagle na dole w korytarzu powstał dziwny ruch. Padło kilka gorączkowych pytań, a potem szybkich, krótkich odpowiedzi. Zaczęły nawoływać się nawzajem nerwowe i krzykliwe głosy kobiece.

I niespodziewanie powstał naraz straszliwy zamęt. Służba z hukiem biegała po schodach od parteru po czwarte piętro, zwołując się wszelkimi imionami.

— Do pani! do pani! Zbudzić panią! — wołano w korytarzach, w windach, na schodach, na pierwszym, drugim, trzecim i czwartym piętrze.

Najstarsza ze służby Marianna, niegdyś piastunka właścicielki pensjonatu, zapukała do drzwi jej pokoju.

— Panienko! panienko!

Flora oprzytomniała w sekundzie. Otwarte oczy zawiesiła na drzwiach, cała zamieniona w słuch.

— Panienko! Panno Floro!!!

Zatrząsł nią febryczny dygot. Serce stanęło jej w piersiach. Cały lęk nocny wrócił do niej ze zdwojoną siłą. A tymczasem Marianna nie pukała już, ale biła pięściami w drzwi, szarpała klamką:

— Floro! Floro! niech panienka otworzy!

Florentyna jednym susem znalazła się przy drzwiach. Zgrzytnął klucz w zamku.

— Jezus, Maria! co się stało?

Marianna była blada, wzburzona i półprzytomna.

— Panna Ewa Bronówna zginęła!

Florentyna spojrzała dziwnie w twarz Marianny.

— Zginęła? Jak to zginęła?!

— Brama otwarta, drzwi główne wchodowe też i wreszcie pokój panny Ewy, a jej nigdzie nie ma!

— Może wyjechała konno na spacer?

— Stajnia zamknięta, Sobek jeszcze śpi.

— To może autem...

— Garaż zamknięty. Pan Stanisław jest w swoim pokoju.

— To po prostu poszła na przechadzkę!?

— Jakże, panienko? w nocnej koszuli poszła? Toż w pokoju nie ruszone nic, szafa zamknięta, koszuli nocnej nigdzie nie ma, a panny Ewy też...

Gospodyni potrząsnęła siwą głową. Jej pełne łez oczy poszukały oczu Florentyny: zrozumiały się.

Florentynie drżały wargi. Rzekła wreszcie jakimś dziwnym, nieswoim głosem:

— Idź uspokoić służbę! Czegóż oni tak hałasują! pobudzą mi gości. Panu Stanisławowi powiedz, że proszę, by przygotował wóz. Ja zaraz się ubiorę i zejdę do jadalni. Idź!

Marianna wyszła. Flora apatycznie zamknęła za nią drzwi i powoli podeszła do łóżka. Nagle upadła na pościel i zaniosła się szlochem gorącym, gwałtownym, jak dziecko.

— Jezu! Jezu! — szeptały jej zbielałe wargi, a w tym jednym słowie, powtarzanym z uporem, zamykała się cała jej rozpacz, cały jej ból...

Pół roku nie upłynęło jeszcze od czasu, gdy z pensjonatu jej zniknęła bez śladu 18-letnia Janina Mierzyńska. Przypuszczano ogólnie, że popełniła samobójstwo. Flora na równi z innymi uwierzyła w to, chociaż pojąć nie mogła, jaki powód do pozbawienia się życia mogła mieć ta piękna dziewczyna, bogata i szczęśliwa, bo kochana i kochająca. Opłakała ją też serdeczniej i szczerzej, niż inni.

A teraz znowu...

Samobójstwo? Nie! — Flora nie mogła, nie chciała w to uwierzyć!

Więc co?

Bunt zerwał się jak burza w jej sercu, zbyt szlachetnym, by mogło nie odczuwać cierpienia, zbyt dumnym, by potrafiło uznać i znosić swoją bezsilność — — —

Tymczasem w korytarzach pootwierały się, jak na komendę, drzwi „numerów" i poczęli wypadać z nich zbudzeni i zaniepokojeni niezwykłym gwarem pensjonariusze. Za chwilę korytarze i schody pełne były dziwnych postaci w pyjamach, szlafrokach, nawet płaszczach, zarzuconych pospiesznie na nocną bieliznę.

Wieść krążyła z ust do ust. Poszczególne gromadki żywo komentowały wypadek, oczywiście nadrabiając odpowiednio fantazją. Ten i ów już przypomniał sobie, że zeszłego wieczoru zaginiona była dziwnie smutna; inny słyszał, jak płakała w nocy, itp. Wreszcie grupki zlały się w jedną dużą gromadę i cała ta barwna fala, pomieszana ze służbą, spłynęła tłocząc się po schodach na parter do jadalni, gdzie lada chwila spodziewano się nadejścia Florentyny.

Rzeczywiście, przyszła niedługo. Wszystkie oczy spoczęły na niej badawczo i niespokojnie. Natychmiast zauważono, że musiała płakać, gdyż oczy jej były z lekka zaczerwienione. Twarz jej była zupełnie spokojna, może tylko trochę bledsza, niż zwykle. Jasny sportowy kostium obciskał jej wysmukłą kibić, — widoczne było, że wybiera się w drogę.

— Dzień dobry, państwu!

Natychmiast otoczyło ją ciasne koło. Posypały się pytania, okrzyki i domysły mniej lub więcej optymistyczne. Szczególnie natarczywi okazali się panowie, z uwagi na młodość, urodę i wreszcie posag jedynaczki profesora Brony.

— Widzę, że niepotrzebnie narobiono tyle alarmu, — rzekła Florentyna, gdy ją wreszcie dopuszczono do głosu. — Obawy państwa są co najmniej przedwczesne.

Z największą swobodą i bez zająknienia informowała swych gości, że Ewa Bronówna była potrosze lunatyczką. Tym razem oddaliła się widocznie bardziej niż zwykle, a zbłąkawszy, nie może trafić do hotelu. Uspokoiła wszystkich, że sama jedzie jej szukać.

Rzeczywiście, z hotelowego dziedzińca dolatywał huk puszczonego w ruch motoru. Flora pożegnała gości i wyszła.

Patrzono z okien za limuzyną. Gdy zniknęła za ścianą budynku, panowie i panie pomięszali się z sobą, dyskutując na temat, dokąd pojechała właścicielka pensjonatu: do Zakopanego zawiadomić policję, czy też faktycznie szukać zaginionej.

Ale co stać się mogło z samą Bronówną?

Ktoś, wierny hotelowi Florentyny, pamiętający ostatni wypadek zniknięcia panny Mierzyńskiej, opowiadał o nim, w końcu zauważył, że jeżeli Ewa się nie znajdzie, to Flora najwidoczniej ma szczęście, a raczej nieszczęście, do samobójców.

Słuchacze to dorzucali swoje spostrzeżenia głośno, to szeptali cicho między sobą.

Nagle jedna z pań, nie pierwszej już młodości, uświadomiła sobie z przerażeniem, że jest bez peruki. Naprzód spąsowiała, a potem zbladła. Podchwyciła kilka par oczu, spoczywających z uporem na jej głowie, na której, zamiast zwykłej pięknej blond fryzury, widniała skąpa garść siwiejących włosów.

Zirytowana i rozjątrzona złośliwymi spojrzeniami obserwatorów, kręciła się bezradnie na swoim miejscu.

Widok nieszczęsnej wprawił najbliższych w humor. Ten i ów uśmiechnął się dyskretnie, gryząc wargi. Kobiety poczęły obrzucać się nawzajem krytycznymi spojrzeniami, podkreślonymi złośliwym uśmieszkiem.

Ale była to chwilowa tylko satysfakcja i wnet uśmieszki skonały na niewieścich ustach.

Panie, chlubiące się piękną cerą, świeciły twarzami tłustymi od kosmetyków, niezmytych po nocy. Inne ukazywały wprost piegi i plamy, które na dzień znikały pod warstwą kremów i pudrów...

Wszczął się prawdziwy popłoch. Sytuacja była tym drażliwsza, że przy drzwiach właśnie ulokowali się panowie. Na szczęście poruszyło się i wśród nich:

Pretendujący jeszcze do miana zdobywców serc starsi panowie żenowali kobiece oczy długą do kostek bielizną. Wąsiki ich były rude, albo po prostu siwe. Młodzi natomiast wyglądali okropnie ze zjeżonymi i bezładnie rozburzon[illegible] ...nie czuprynami.

W dodatku wszyscy bez wyjątku stwierdzili nagle, że są po prostu rozebrani.

Rzucono się ku drzwiom. Za chwilę poczęły trzaskać windy, a po schodach biegły chyżo dziesiątki nóg. Potem na wszystkich piętrach rozległo się trzaskanie zamykanych pospiesznie drzwi — i zrobiła się cisza.

## II.

Komisarz, zarządzający śledztwem, polecił prosić do siebie właścicielkę pensjonatu.

Flora przyszła natychmiast, smutna, mizerna i blada. Bezsenność i troska podkrążyły fioletowym cieniem jej oczy, usta zbladły, a kąciki ich zacięły się zmarszczką bólu i uporu. W tej cudnej szlachetnej twarzy czytało się z największą łatwością wszystko to, co nieszczęśliwa dziewczyna na próżno usiłowała ukryć przed oczyma ludzi.

Upływał trzeci dzień ciężkiej pracy i nadludzkich niemal wysiłków. Lecz żmudne śledztwo nie dało żadnych wyników, nie naprowadziło na najmniejszy nawet ślad zaginionej. Wezwany telegraficznie przez Florę ojciec Ewy osobiście brał udział w poszukiwaniach, nie szczędząc obietnic detektywom i funkcjonariuszom policyjnym. Nieszczęśliwy człowiek w ciągu tych trzech dni zsiwiał, jak gołąb. Jedyną istotą, której towarzystwo znosił, była Flora. Pierwszego wieczoru rzekł do niej, gdy obradowali w jej pokoju, że tylko śmierć mu pozostaje. Wtedy niewypowiedziany żal targnął sercem dziewczyny. Uklękła przed starcem i całowała z płaczem jego drżące, wychudłe dłonie, a on pochylił się, wziął ją w ramiona i całował szybko, gorączkowo jej czarną główkę. Zrozumiał dobrze, że jest to jedyna istota, która całą duszą podziela jego ból.

Na wezwanie komisarza Dęborówna podążyła spiesznie. Komisarz ucałował jej rękę, a gdy zajęła miejsce przy biurku, zawalonym papierami i aktami śledczymi, wyciągnął ramię i podał jej jakiś mały, lśniący przedmiot. Był to kobiecy grzebień do przepinania włosów, wspaniały okaz rzadkiej piękności, inkrustowany złotem i wysadzany brylantami. Przed niespełna godziną przyniosła go komisarzowi służąca, wyjaśniając, że znalazł go pan Grzebiński.

— Czy zna pani ten grzebień?

Florentyna z radosnym zdziwieniem spoglądała na cacko toaletowe.

— Ależ, naturalnie! Przecież to jest grzebyk Edyth.

— Właśnie, służąca mówiła, iż zdaje się jej, że jest to własność przyjaciółki pani.

— Tak! Edyth musiała zgubić go ostatnim razem. Pewnie uważa go za stracony. Szalenie ucieszy się. Ma dwa jednakowe, stara i droga pamiątka po matce.

Komisarz był trochę zawiedziony. W pierwszej chwili myślał, że kosztowny przedmiot stanowił własność zaginionej Ewy Bronówny. Tymczasem okazało się, że należy on do przyjaciółki właścicielki pensjonatu. Zgodnie z zeznaniem służącej przebywała ona bardzo często w Hotelu Wielkim. Ponieważ jednak wszystkie osoby, przebywające w pensjonacie, zostały poddane przesłuchaniu, komisarz poprosił Florę o udzielenie mu informacji odnośnie osoby jej przyjaciółki.

— Jak nazwisko tej pani?

— Edyth Ferallano.

— Aaa, Hiszpanka?

— Tak!

— W jakim wieku?

Florentyna uśmiechnęła się kącikami ust.

— Nie mam pojęcia. Edyth może wygląda na starszą, niż jest w istocie, dzięki swej rasie, ale może być młodszą ode mnie, tak jak może być starszą. Nigdy nie pytałam jej o wiek. Pan komisarz wie, że to jest najczulsza strona wszystkich kobiet... W każdym razie uprzedzam, że to jest młoda i piękna osoba.

— Stan cywilny? — badał dalej rozweselony trochę komisarz.

— Gdy ostatni raz wyjeżdżała stąd, była niezamężna. Ale nie wiadomo, czy nie wróci mężatką, albo nawet już rozwódką. Edyth, to ptak europejski, kapryśny, nieobliczalny, a przez to wszędzie mile widziany.

— Kiedy Pani Ferallano była tu ostatni raz?

— Dziewięć, dziesięć dni temu... Pojechała do Krakowa, gdzie ją wezwały jakieś interesy. Edyth sama dogląda swego majątku.

— Dawno panie się znają?

— O, dawno! Kilka lat! Poznałam ją we Wiedniu, zupełnie przypadkowo. Od tego czasu przyjaźnimy się. Edyth mieszka stale w Krakowie, oczywiście jeżeli mieszka w Polsce, gdyż posiada także willę w okolicy Paryża i wspaniały majątek rodzinny w swej ojczyźnie — Hiszpanii.

— Więc poznaje pani własność swej przyjaciółki!

— Doskonale znam ten grzebień. Tyle razy zachwycałam się nim. Pan komisarz pozwoli, że go zabiorę i oddam Edyth przy pierwszej okazji. Kto go znalazł? nie wie pan?

— Owszem, wiem: znalazł go szofer.

— Kto?

— Szofer pani! Powiedziała mi służąca: „ten pan, który pana komisarza przywiózł z Zakopanego".

— Aaa, pan Grzebiński! — rzekła Flora. Rumieniec delikatnie zabarwił jej mizerne policzki. Coś, jakby ulga, jakby pewne odciążenie moralne, zabłysło w jej oczach. — Więc wrócił już? to dobrze!

*Dalszy ciąg na stronie 8-mej*

# Krzyż

Ukochana „Orszulka" autora „Matczynej miłości" już nie żyje. Dziwnym zrządzeniem losu zmarła w dniu ukazania się jej poświęconego wiersza, w który p. Bronisław Król wlał całą potęgę swej ojcowskiej miłości.

Z zamieszczonego dzisiaj wiersza-wspomnienia bije właśnie ten ogrom bólu, który targał sercem autora po stracie najdroższej istoty.

Redakcja

*...Ma oczy... Nie, już nie widzę ni oczu, ni ust maleńkich, cała ma radość zakrzepła w zastygłej nagle pamięci, zostało tylko wspomnienie bladoniebieskiej trumienki, bezbarwna cisza w mieszkaniu i pustka ponad pojęcie.*

*I tak coś w gardle... Na pewno wy znacie takie uczucie, gdy nie ma miejsca na słowa, a myśli w marmur się ścisną, że chciałoby się coś robić, gdzieś lecieć i przed czymś uciec, albo bezradnie, jak ot — „nic" — w ten bezdźwięk wpaść — i wpół zwisnąć...*

*Wy wiecie może niektórzy — jak ja wiem teraz najlepiej — co to jest widzieć swe dziecko w najcięższej męce konania, kiedy zbolałe oczęta o twoje serce zaczepią...*

*...a ty nic pomóc nie możesz, choćbyś był cały z kochania.*

*I chciałbyś z siebie coś wydrzeć, coś wyrwać niebu i ziemi, modlitwy, prośby, zaklęcia przed Sąd Najwyższy się tłoczą, aż wreszcie coś się przesunie przed bólem zmęczonych źrenic, milkniesz i stygniesz — jak życie najmilszych, niebieskich ocząt.*

— — — — — — — — — — — — — — —
— — — — — — — — — — — — — — —

*...A teraz — tylko tabliczka, imię, nazwisko i data — dla kogoś — beztreść — a dla mnie — wszystko, co po Niej zostało. — I krzyż. Zapora, granica tamtego, innego świata, nielitościwie milcząca, złamana, uschnięta gałąź.*

**KRÓL BRONISŁAW**

*Ciąg dalszy ze strony 7-mej*

Komisarz, który dzięki swemu fachowi umiał nie tylko słuchać, ale i patrzeć, zauważył nie spodziewaną radość Flory.

— Co to może być? — pomyślał. A głośno dodał: — Tak, właśnie wrócił. To pani wysyłała go, prawda? Proszę go przysłać do mnie. Bezustannie jeździł z pani polecenia i dotychczas nie miałem okazji przesłuchać go. Widziałem go w ogóle tylko przelotnie, gdy wsiadaliśmy do pani auta.

— Dobrze. Pan Grzebiński za chwilę tu będzie — rzekła Flora tonem, z którego komisarz wywnioskował, że szofer jest człowiekiem, z którym ona bardzo się liczy. Uraziło go to trochę, a przede wszystkim zaciekawiło.

Dęborówna wyszła. Komisarz nachylił się nad biurkiem, pisał coś, odczytywał, przekreślał i znowu notował, poprawiał. Nagle dało się słyszeć pukanie do drzwi.

— Proszę wejść! — krzyknął komisarz, nie podnosząc głowy.

Drzwi otworzyły się i zamknęły. Komisarz pisał dalej, nie zwracając żadnej uwagi na przybysza, który zatrzymał się przy drzwiach. Był to młody, bardzo wysoki mężczyzna, ubrany w skórzaną kurtkę szoferską.

— Dzień dobry! — rzekł od progu niski, głęboki głos o niezwykle przyjemnym brzmieniu.

Komisarz nagle podniósł głowę. I w tej chwili zerwał się na równe nogi, oddając głęboki ukłon przybyłemu. Był zmieszany, zaczerwieniony nie wiadomo czemu. Przez chwilę trwało kłopotliwe milczenie.

— Pan komisarz życzył sobie mówić ze mną!

— Tak jest. Może pan będzie uprzejmy zająć miejsce! — mówił dalej komisarz zły na siebie, że tak łatwo dał się unieść pierwszemu wrażeniu.

Grzebiński podszedł do biurka krokiem pełnym spokoju i harmonii. Każde jego poruszenie miało w sobie męską siłę, połączoną z dziwnym, nieokreślonym wdziękiem. Komisarzowi przyszła do głowy myśl, że gdyby ten człowiek znajdował się w tej chwili w salonie, na pewno nie poruszałby się inaczej. Była w jego ruchach, aczkolwiek pełnych naturalności i swobody, wrodzona dystynkcja i wytworność.

Tymczasem Grzebiński usiadł. Komisarz rzucił na niego krótkie spojrzenie.

Miał przed sobą wspaniały typ górala, typ doskonałej męskiej piękności. Jasne jak pszenica bujne włosy, wijące się lekko nad wysokim przepięknym czołem, żywo kontrastowały z twarzą opaloną na ciemny bronz. Rysy tej twarzy były ostre, ale bardzo regularne, niemal klasyczne. Dumne usta i zimne szare oczy, z których biła inteligencja, dawały poznać od razu, że to jest człowiek niedostępny i skryty. Ale równocześnie w twarzy młodego mężczyzny widniała taka szlachetność, prostota i dobroć, że twarz ta, jakkolwiek z miejsca onieśmielała, z miejsca też budziła sympatię i zaufanie.

— Jak godność pana...

— Stanisław Grzebiński.

— Wiek?

— Skończyłem trzydzieści lat.

— Jakie pan ma wykształcenie?

— Studiowałem agronomię na uniwersytecie krakowskim.

Twarz komisarza oblała się ponsem. Schylił głowę, by ukryć zmieszanie.

— Jest pan inżynierem?

— Tak! — odrzekł z prostotą Grzebiński.

— Nazwisko pana jest mi dobrze znane. W okolicy Nowego Targu stary ród góralski posiada od dziesiątek lat wielki majątek.

— Owszem, to moi rodzice.

— Ach, więc to rodzice pana.

— Niestety, nie żyją już. Mam tylko siostrę, która prowadzi nasze gospodarstwo.

*Ciąg dalszy nastąpi*

*Ciąg dalszy ze strony 6-tej*

podjazd ku górom i niezwykle nieraz ciężka akcja ratunkowa, by wydrzeć górom ofiarę, którą już mają wchłonąć.

Z pośród wszystkich turni tatrzańskich, rokrocznie najwięcej ofiar pochłania Giewont. Ta tak popularna, wszystkim bywalcom Zakopanego znana góra, dziecinnie po prostu łatwa gdy ku jej wierzchołkowi podąża się zwykłą ścieżką, zamyka wśród swoich skał najwięcej tragedii górskich. Przestroma, około 700 metrowym urwiskiem spadająca ku Zakopanemu północna ściana Giewontu najwięcej pochłonęła istnień ludzkich.

Przerzucam wstecz rubryki „Księgi Wypraw Ratunkowych" za lata ostatnie:

W dniu 29 września 1942 r. wyruszyło z Zakopanego Pogotowie w składzie 6 ludzi w celu zniesienia zwłok nieznanego turysty. Zwłoki leżały wśród płyt urwistego żlebu, spadającego z t. zw. Szczerby w Giewoncie, w jego północnej ścianie. Młody, może dwudziestoletni chłopak, ubrany w miejskie ubranie, długie spodnie spięte klipsą rowerową. Kto on? Nie wiadomo. Nie miał przy sobie żadnych dokumentów. Może przyjechał na rowerze do Zakopanego na dzień — dwa. Może zwabiony urokiem gór poszedł w nie na przechadzkę. Ufając swoim młodym siłom i młodzieńczej odwadze, widząc u swoich stóp Zakopane, zaczął schodzić z wierzchołka Giewontu wprost ku północy, w otchłań północnej ściany i... śmierci. Tymczasem hen daleko gdzieś w dolinach na próżno oczekiwali go starzy rodzice.

*

Kilkanaście dni przedtem wzywano Pogotowie do udzielenia pomocy turystom, którzy schodzili z Giewontu t. zw. żlebem Kirkora — wypadek zakończony szczęśliwie...

*

Z końcem sierpnia spadł z Giewontu turysta podążający ku wierzchołkowi granią od Kalatówek. Bardzo silnie poraniony, ledwie żywy dowlókł się w dolinę, gdzie zajęła się nim nadeszła pomoc...

*

W dniu 11 sierpnia 1942 r. zaalarmowano Pogotowie, że z północnej ściany Giewontu słychać wołania „Ratunku!" Nie znając zupełnie gór i ich niebezpieczeństw, dziś dopiero rano przyjechał do Zakopanego, począł schodzić z wierzchołka wprost północnym urwiskiem. Miał na tyle rozsądku, że znalazłszy się w trudnym terenie, z którego nie potrafiłby się wydostać, nie próbował już schodzić dalej. Pozostał i czekał na pomoc. I doczekał się szczęśliwie: zdrowego i całego wyciągnęło ze ściany Pogotowie i sprowadziło w dolinę. — Wie Pan? Wart Pan dostać od ojca solidne lanie!

*

W dniach 26, 27 i 29 lipca poszukiwało Pogotowie zaginionego turysty, który utknął około 200 m. poniżej Długiej Grani Giewontu i nie mógł wydostać się z matni o własnych siłach. Godzinami przepatrywano żleby i załomy skalne północnego urwiska Giewontu. Niezmordowanie szukano od świtu do nocy, niezmordowanie wpijały się w skały urwiska lornety Pogotowia... Jest! Tam, na maleńkiej, trawiastej płasience siedzi nad przepaścią i daje rozpaczliwe znaki jakąś chustą...

*

A ot i wesołe intermezzo:

Nie wróciły na noc do domu. Dwie młode panienki. Zaniepokojeni domownicy zwrócili się do Pogotowia. Wyprawa poszła. W nocy już przeszukiwano żleby północnej ściany. Szukano, świecono latarniami, wołano i nic. Tymczasem panienki pochowały się przed Pogotowiem do jakichś dziur skalnych, gdzie przycupnęły cichutko, żeby ich broń Boże ktoś nie zauważył. — Owszem, widziałyśmy Panów — opowiadały później, — ale widząc jakichś ludzi wspinających się po nocy przy świetle latarek, myślałyśmy że to napewno rozbójnicy!

*

I znów wypadki śmiertelne:

Schodził z Giewontu wprost ku północy. Z początku łatwo po trawach, stopniowo teren staje się coraz trudniejszy, trawniki coraz urwistrze, dno żlebu coraz częściej wysłane pionowymi, gładkimi płytami. Ponad wielkim progiem skalnym chwila zastanowienia: żleb urywa się pionową stromizną na przestrzeni kilkudziesięciu metrów. Ale dolina już tak blisko! Prawie u stóp. Więc próbuje. Pierwsze kilka kroków udało się. Na gładkiej jak szkło płycie skielza but. Ręce rozpaczliwym wysiłkiem starają się znaleźć jakiś punkt zaczepienia, starają się utrzymać lecące już w przepaść ciało... U stóp skalnego progu leży trup...

*

Na południowych spasztach Giewontu wysoko ponad Halą Kondratową leżą zwłoki. W milczeniu, wolno, nie spiesząc się już, postępuje ku górze wyprawa Pogotowia. Każdy z jej uczestników wlecze za sobą wielką gałąź kosodrzewiny. Na nich, jak na zielonych sankach zwozi Pogotowie w dolinę nieszczęsnego turystę, który w drodze na Giewont wspinał się za szarotkami. Runął z wysokości ok. 30 metrów i poniósł śmierć na miejscu.

Zmrok zaciera już karty Księgi Wypraw Ratunkowych...

W dniu 3 października 1940 r. zaalarmowano Pogotowie, że ze skał Giewontu spadł w przepaść...

**Z. Korosadowicz**

*Ciąg dalszy ze strony 5-tej*

techniki, aby ulepszyć swoje wyroby. Elektrotechnika, mechanika, optyka są więc na usługach medycyny.

Wyobraźmy sobie na chwilę, że jesteśmy w mieście średniowiecznym, zamkniętym w murach obronnych gdy względy strategiczne nie pozwalały na rozszerzanie miast, gdy ulice dla szczupłości miejsca musiały być tak wąskie, że z trudem dwie fury mogły się przez nie przecisnąć. Przypomnijmy sobie, że ulice były niebrukowane, w lecie pełne kurzu, w jesieni bezdennego błota zmieszanego z nieczystościami wyrzucanymi wprost z mieszkań na ulice; mieszkania ciemne, nieprzewietrzane, bez urządzeń higienicznych; dodajmy do tego ówczesną niechęć do częstego mycia się i przebierania, brak bielizny, a możemy zrozumieć opowiadania o „morowej zarazie", „czarnej śmierci", które całe wsie i miasta wyludniały. Długie lata upłynęły i wiele przesądów trzeba było zburzyć, wiele różnych wynalazków w przeróżnych dziedzinach poczynić, aby dojść do stanu, jaki dzisiaj przedstawiają miasta. Nie mówiąc już o urządzeniach szpitalnych śmiertelność zmniejsza się dzięki szerokim, słonecznym, brukowanym ulicom, przewiewnym, obszernym mieszkaniom, urządzeniom higienicznym w mieszkaniach, wodociągom, kanalizacji, parkom, ogrodom, sportom — wszystko to również środki lecznicze.

Nie pominiemy również innego czynnika oddziaływującego na zdrowie — kuchni. Urozmaicone menu, zawierające wszystkie składniki potrzebne dla organizmu w odpowiednich dawkach, rezultat wielu badań i wynalazków, zachowuje nasz organizm odpornym na wpływy chorób. Odkrycie witamin równe jest „odkryciu" słońca dla organizmu. Szkorbut, krzywica mają największego wroga właśnie w witaminach.

Nie będziemy zacofani, jeśli przyznamy i ludowym lekarzom, znachorom i znachorkom, trochę zasługi. Przechowują oni starą mądrość ludową, leczenie ziołami i wiarę. Znachorstwo to przecież pierwotna medycyna. Leczenie ziołami przejęła obecnie i medycyna oficjalna z rąk ludowych, a „składacze" złamanych kości często jeszcze dzisiaj prześcigają w zręczności wielu chirurgów.

Zestawiając te fakty musimy uznać rację popularnego dowcipu o ilości lekarzy, bo jest nim architekt i elektrotechnik, ogrodnik i kucharz. I lekarstw też jest najwięcej na świecie, bo spożywamy je w potrawach, pobieramy z powietrza, słońca, wody, trucizn, wszelkich organicznych i nieorganicznych związków, są nimi urządzenia higieniczne, dostarcza nam ich także czyste, jasne mieszkanie, ogrody, parki, góry, rzeki, morze.

**J. Szczuka**

Ilustrowany Kurier Polski — Krakau, Redakcja: ul. Piłsudskiego 19 tel. 213-93 — Wydawnictwo: Wielopole 1 tel. 135-60 — Pocztowe Konto Czekowe: Warschau Nr. 900

# POKAZ PRZYCHÓWKU





W kole na lewo:
**PRZED POKAZEM**
Araby pełnej krwi na chwilę przed wyprowadzeniem na tor.



W kole u góry:
**WOLTYŻERKA**
Jeden ze stajennych wykonuje produkcje z zakresu woltyżerki na siwym ogierze, arabie „Rembrancie"

**PRZY LEKKIM WÓZKU KŁUSAKÓW**
Półkrwi ogier arabski „Kaprys" w zaprzęgu kłusaków.



Na lewo:
**RARÓG**
Piękny okaz półkrwi angloaraba.

**POKAZ ARABÓW I OGIERÓW LIPICKICH REJONOWEJ STADNINY W DĘBICY**

W zeszłym tygodniu urządziła stadnina rejonowa w Dębicy pierwszy pokaz ogierów własnego chowu. Mieliśmy okazję ujrzeć piękne okazy rasowych koni już to w jeździe pod siodłem, już to w zaprzęgu i przy wózkach jako kłusaki. Bardzo ciekawym był pokaz najlepszych na świecie koni górskich, pod siodłem oraz w lekkim i ciężkim zaprzęgu. Po pokazie parzystych zaprzęgów ogierów lipickich, oglądaliśmy zaprzęgi czwórek i piątek. Ostatni pokaz czterdziestu ośmiu ogierów berberskich, jako wierzchowców unaocznił zebranym, jak bardzo zwrotne i szybkie są te małe północno afrykańskie kawaleryjskie konie.

Stadninę w Dębicy założono we wrześniu zeszłego roku. Ogiery tej stadniny pokrywają zapotrzebowanie dwu Okręgów Generalnego Gubernatorstwa, a mianowicie krakowskiego i lwowskiego. W rejonowej stadninie w Dębicy znajdują się ogiery tylko krwi gorącej. Od wielu lat hodowano w byłej Galicji konie szlachetne. Znajdowały się tam zawsze angielskie ogiery pełnej krwi i półkrwi, ogiery arabskie pełnej krwi i półkrwi, angloaraby — a także nieliczne ogiery z Lipicy. W Galicji hodowano także dwie rasy małych koni — a mianowicie rasę „koników chłopskich" zwanych przez Niemców końmi „Panje" i rasę koników huculskich. Do tych dawnych ras dołączono obecnie rasę ogierów berberskich, które wpadły w ręce niemieckie jako łup wojenny z francuskich pułków jazdy Spahisów.

Dzięki wzorowej hodowli rasowych koni w stadninie dębickiej należy się spodziewać w najbliższych latach znacznej poprawy rasy koni w Generalnym Gubernatorstwie. Stadnina w Dębicy jest bezwątpienia największą stadniną rejonową w Europie.





Naczelny zarządca stadniny rejonowej w Dębicy powozi swymi dwoma ogierami z Lipicy.

W kole na lewo:
**DWA ZAPRZĘGI LIPICKICH OGIERÓW**
Przed licznie zgromadzoną publicznością defilują dwa ogiery powożone przez masztalerzy.

WŁASNY FOTOREPORTER ILUSTROWANEGO KURJERA POLSKIEGO